

Kilka refleksji zza steru domowych pieleszy

Przywołując sam siebie do tablicy, spróbuję coś skrobnąć o czasach juniorskich w naszym klubie LOK. Mam nadzieję, że jeszcze stosunkowo młody wiek, którego miara to tak naprawdę nie faktyczna ilość przeżytych wiosen, tylko zależność „dla kogo ten wywiad”, pomoże w napisaniu czegokolwiek. Pierwsza osobista refleksja, może nie na miejscu na łamach internetowej strony klubu sportowego, jest taka, że tytuły mistrzów, medale, trofea, zajmowane w regatach miejsca ulatują w niepamięć na kamfora. Wycinki z gazet o naszych sukcesach o ile nie trafią na makulaturę, przepraszam za wyrażenie, to zeżrą je mole. Puchary jeżeli przetrwają pokrywający je kurz i bezlitosną rękę Małżonki, znajdą miejsce w jakimś kartonie na strychu. A te blaszane dzbanki, które jakimś cudem mogą liczyć na oglądanie światła dziennego i tak cały czas narażone są na żywot strychowych gratów. Wydaje się, że tylko nieliczni mistrzowie zapisują się na kartach historii żeglarstwa. Cała reszta jest bezcenną otoczką mistrzów i tak naprawdę najważniejsze jest po prostu żeglowanie. Najdłużej jak się da. Jak tylko to możliwe, na akceptowalnym przez samego siebie poziomie. Akceptowalny przez samego siebie poziom jest o tyle ważną kwestią całej tej zabawy, że w pewnym momencie kariery zawodniczej żeglarzowi ulatuje powietrze, ztraca świeżość i radość ze „ścigania” się na łódkach i w najlepszym przypadku przeistacza swój żeglarski świat ze sportowego na turystyczny, który zresztą też ma swoje uroki. Czasami nawet ten turystyczny świat stawia żeglarza do trudniejszej walki z siłami natury niż w czasach regatowego pływania. A więc ważne jest, aby cały czas być w tak zwanym interesie. Obracać się żeglarskim światku. Wybierać szoty, halsować, luzować, pompować, rumplować i w końcu, żeby na przeredzonej upływem czasu włosami czaszce czuć jeszcze powiew wiatru.



Fot.1. Rejs po Zalewie Szczecińskim w czasach, gdy z regatowych łódek przesiedliśmy się na większe okręty. Na zdjęciu: Maciej, Roger i Paweł na Carinie (1995 r)



Fot.2. Jesienny rejs po Mazurach. „Po przeredzonej włosami czaszce cały czas czuć jeszcze powiew wiatru” Na zdjęciu: Maciej, Roger, Przemias i Paweł (2013 r)

O ile punktacja pucharowa, rankingi i inne statystyczne zestawienia związane z karierą legły, sobie gdzieś głęboko w zapomnieniu, o tyle niektóre wydarzenia związane z uprawianiem żeglarstwa trzyma się na samym wierzchu worka ze wspomnieniami. Pamięta się je jakby to było wczoraj. I co wcale nie jest dziwne, najdokładniej ma się przed oczami te najgłupsze i najbardziej idiotyczne zdarzenia, którymi człowiek nie chce się dzielić się z innymi, więc te muszą pozostać tylko dla ich bohaterów. W takiej sytuacji pozostaje wspomnieć przynajmniej „klimat tamtych lat”.

Nie da się ukryć, że choć dwadzieścia pięć lat w dziejach wszechświata to zaledwie mgnienie oka, to porównując czasy „dwadzieścia pięć lat temu” z dzisiejszymi ma się wrażenie jakby działały się w innej epoce. W epoce, w której na jednym z dwóch programów przed dziennikiem telewizyjnym emitowana była tylko jedna bajka. Nie było osobistych komputerów, laptopów, tabletów i innych pożeraczy czasu. Dzięki tym wszystkim niedogodnościom i ułomnościom ubiegłych czasów, pozbawieni elektronicznych pokus wirtualnego świata można było beztrudno spędzać cały wolny czas sześciu młodości na przystani Klubu. I żaden laptop nie byłby w stanie temu sprostać. Do dyspozycji młodych żeglarzy były drewniane domki, które nawet dzisiaj są nie lada atrakcją. Widok jeziora, szum drzew, poranny śpiew ptaków. Co więcej trzeba było?



Fot.3. Życie w Klubie toczyło się na wodzie, w hangarze, na pomoście, ale też pomiędzy drewnianymi domkami (pomiędzy domkiem Marasa i Korca stoją Roger, Maras i Paweł)

Tym bardziej, że pomysłów nigdy nie brakowało. Oczywiście podstawową czynnością, która już z definicji przynależności do klubu żeglarskiego powinna zajmować i zajmowała młodym wilkom morskim najwięcej czasu to było żeglowanie. Zarówno pod żaglami jak i na tak zwanej „śrubce”. I tu niezwłocznie spieszę wyjaśnić co oznacza pływanie na „śrubce”, bo niezorientowany czytelnik przed oczami ma żeglarzy niesionych po wodzie nie wiatrem i falami ale procentami napoi wyskokowych. Otóż nie! Pływanie na „śrubce” to sposób pokonywania zarówno spokojnej jak i wzburzonej tafli wody przy pomocy wyspecjalizowanego bączka. To wyspecjalizowanie polegało na umieszczeniu w jego rufie wyciętej ze sklejki dulki, po której powierzchni roboczej sternik bączka w odpowiedni sposób prowadził wiosło. Niewątpliwą zaletą takiego pływania, poza względami ekonomicznymi (tylko jedno wiosło!), była świetna manewrowość w małych portach. Tam, gdzie łódź wiosłowa ze względu na szerokość jaką zajmowały napędzające ją dwa wiosła

nie radziła sobie, bączek na śrubce manewrował bez problemu. Z pewnością poruszanie się łodzią, przy pomocy jednego wiosła było specjalnością żeglarzy z LOK-u. Niestety to nie ani postęp techniki, ani też nie nowe, innowacyjne metody poruszania się po ciasnych wodach portowych przyniosły kres śrubkowaniu, tylko okrutna rzeczywistość. Po prostu bączek pewnego razu zniknął ze slipu i ślad po nim zaginął. Ktoś go bezczelnie sprywatyzował. Szkoda, bo śrubkowanie to wyjątkowa i bezcenna umiejętność. Kiedyś nawet był to jeden z etapów egzaminu praktycznego na stopień żeglarza jachtowego. Na koniec jeszcze wspomnę, że dobry sternik musiał potrafić śrubkować tak obciążonym załogą bączkiem, że woda sięgała jego listwy odbojowej. I to nie był rejs wokół pomostu, tylko do odległego Szkwału, LKS-u, albo Jachtklubu Wielkopolskiego. A odsapnąć mógł tylko wtedy, gdy głos załogi trzymający butelkę krzyknął: „Maszyny STOP!”. I jeszcze jeden obrazek z przeszłości. Noc. Mgły unoszą się nad wodą. Muzyka z tawerny coraz donośniejsza, co oznaczało, że cel rejsu został osiągnięty. Jednak sternik bączka wsłuchany w miarowe tarcie wiosła o dulkę, prawidłowo odwrócony tyłem do dziobu jak w transie śrubkuje dalej. Wywija tyłkiem na lewo i prawo, glony z dna zrywa, bo jego trzeźwe jeszcze oczy widzą, że przestał się poruszać względem wody. Dziób bączka już na pomoście, zaraz stępka z wody wyjdzie, ale on się nie poddaje. Jeszcze bardziej rzuca burtą na lewo i prawo, tak, że towarzystwo prawie wpada do wody. W końcu głos załogi krzyczy: „Stój! Koniec! Jesteśmy na miejscu, przy pomoście!”. Tym samym bączkiem śrubkowało się też niejednokrotnie pod falę przez całe jezioro z LOK-u do Jachtklubu na ceremonię zakończenia regat. Bractwo z innych klubów pod maszt flagowy elegancko przybyło motorówkami i samochodami, a dwóch takich nieokrzesanych z LOK-u do tego elitarnego grona dobiło do pomostu na laminatowej łupince z jednym wiosłem.



Ale zdarzało się też im pływać pod osłoną nocy na jeszcze mniejszych jednostkach. Przykładem niech będą chociażby wyprawy w czterech chłopa, optymistem do zadań specjalnych, na czereśnie. Jak mieli do dyspozycji pagaje to dobrze. Jak ich nie mieli, to też było dobrze, bo do czego są w końcu cztery pary dłoni, które też całkiem sprawnie przegarniają wodę jeziora. Żegluga na optymizmie wymagała zgranej załogi, bo wystarczyło, żeby jeden delikwent bez ostrzeżenia uniósł tyłek z burty, a cała czwórka lądowała w wodzie. I na koniec muszę jeszcze napisać też o normalnym żeglowaniu na optymistach, cadetach, okejach, no i o cotygodniowych startach w regatach, bo to przecież była podstawowa działalność młodego żeglarza w klubie. To był jego chleb powszedni. Rytuał takłowania. Potem z racji posiadania być może nawet najwyższej górkę spośród wszystkich klubów żeglarskich w Kraju, następowała ceremonia znoszenia w rękach łódek, a w latach późniejszych ich zwożenia wózkami na slip. Następnie żeglowanie, żeglowanie, żeglowanie, żeglowanie, żeglowanie... Po zoraniu kadłubem łódek wody jeziora kierskiego, następowały czynności odwrotne do wcześniej wymienionych, czyli wnoszenie w rękach łódek, a w latach późniejszych ich wciąganie wózkami na klubową górę i roztakłowanie. Wszystkie te działania wymagały pracy zespołowej i współpracy, bo samemu można było tylko „ugryźć się w jajo”. Sam nikt nic nie był wstanie ani wnieść ani znieść.



Fot.4. Na górcie pośród bujnej zieleni prezentują się Roger i Korek oraz nasz stary, klubowy hangar – około 1987 r



Fot.5. „W późniejszych czasach zwożenie łódek wózkiem na slip” – Roger i Paweł

A co jeszcze poza żeglowaniem? Ze względu na napięty grafik zajęć, działalność młodych żeglarzy LOK-u niejednokrotnie przedłużała się do pory nocnej. Ale to było świadome postępowanie, bo przecież szkoda wakacji, żeby spać. Przebrani w maski gazowe typu słoń o świetle księżycy chłopcy wydobywali z siebie pod oknem domku dziewczyn głębokie oddechy, chrzęścili gałęziami i ukazywali szklane oczodoły gumowego wyposażenia ppoż. W ten sposób po prostu dbali o mocne przeżycia i czujny sen swoich koleżanek klubowych. I znowu refleksja, że w czasach, które wspominam nie było potrzeby oglądać w telewizorze horrorów, bo ich akcja rozgrywała się za oknem. I to bez opłaconego abonamentu platformy

cyfrowej. Spokojnego życia nie miała też lokatorka klubowego mieszkania w dolnym hangarze. Nocami z wnętrza kilku spośród kilkudziesięciu szafek narzędziowych mieszczących dorosłą osobę, w przestrzeń ponurego wtedy holu wydobywały się dziwne jęki zabłąkanych dusz marynarzy i wycie wilków. Ot takie to były uroki starego hangaru. Jeszcze inna popularna działalność aktywnej fizycznie młodzieży LOK-u, która często przeciągała się do godzin nocnych to były rozgrywki w ping-ponga i w trambambule, czyli piłkarzyki stołowe. Areną zaciętych meczy była świetlica Ośrodka Wypoczynkowego Wojsk Lotniczych DW-lotu. Ośrodek ten graniczył i graniczy do dzisiaj z naszym Klubem niewysokim płotkiem, który z łatwością można było przeskoczyć. Wyłaniając się z przedsionka bujnych krzaków porastających teren za płotem, zawodnicy z paletkami w rękach kierowali się wprost do świetlicy. Jeżeli jej drzwi były zamknięte, zmuszeni sytuacją musieli się udać do recepcji Ośrodka Wypoczynkowego po klucz. Najczęściej znajome Panie nie robiły problemu wręczając im klucz, ale zdarzało się, że w zastępstwie rękę na kluczach trzymała jakaś niezorientowana Pani, której trzeba było podać numer pokoju. To się podawało numer pokoju...Na przykład 139, albo jakiś inny, który akurat wpadł do głowy. Jednak nie tylko zabawą żyli młodzi żeglarze LOK-u. Pewnego dnia dwóch z nich późnym wieczorem ustalili zbiórkę na pętli autobusowej na Ogrodach, skąd dalej polskim motorowerem Ogar dopyrkali do Klubu. Nie pamiętam już co w nich wstąpiło, w każdym razie po północy wystawili z hangaru wszystkie dwie taczki, szypy, łopaty i worki z cementem. Wody i piachu wystawiać nie było potrzeby, bo tego dookoła nie brakowało. Następnie wszystkie te sprzęty zwieźli na slip, zakasali rękawy i niczym nocna brygada budowlana zabrali się do roboty. Do rana dziurawa górką klubowa była załatana. I wszystko w czynie społecznym. W czynie społecznym zresztą nasi Ojcowie budowali hangary, pomosty, domki i sadzili drzewka pomiędzy nimi. Można napisać, że wspólną pracą rozbudowywali Klub, którego początki sięgają 1936 roku! Słowo „nasze” miało wtedy wartość. Dzisiaj wartości nabrało słowo „moje”. Kluby żeglarskie z Ludowych, Rzemieślniczych, Szkolnych i Akademickich przeistaczają się powoli w prywatne. A w takich elitarnych, prywatnych klubach nie godzi się Jaśnie Wielmożnemu Panu Członkowi, który płaci co miesiąc stówę, albo więcej do klubowej kasy, jeszcze pracować społecznie. Nasze składki członkowskie z lat szczenięcych były niższe, wychowywaliśmy się w czasach w których słowo „nasze” miało jeszcze wartość i jako żeglarze w czynie społecznym przegrabiliśmy hektary liści, wymalowaliśmy kupę litrów różnego rodzaju farb na ścianach hangaru i latryny, na słupkach, dźwigarach, pasach parkingowych, dnach i burtach łódek i sam już nie wiem na czym jeszcze. W czynie społecznym w końcu została zrównana z ziemią legendarna klubowa latryna. Ku chwale Ojczyzny! Ale robota nie poszła na marne, bo za postawę obywatelską, społeczną działalność i sukcesy żeglarskie byliśmy niejednokrotnie wyróżniani Odznakami Zasłużonych Działaczy LOK-u. Można rzec: Tak trzymać! Zuchy!



„Za postawę obywatelską, społeczną działalność i sukcesy żeglarskie byliśmy niejednokrotnie wyróżniani Odznakami Zasłużonych Działaczy LOK-u” – powyżej jedna z kilku legitymacji Zasłużonego Działacza LOK i odznaka. Kiedyś w ogóle nie przykładaliśmy wagi do tego typu wyróżnień i tylko dzięki wrodzonemu zbieractwu, dzisiaj zachowały się one jeszcze w szufladach (pewnie nie wszystkie)



Fot.6.
W miejscu dzisiejszych wysokich świerków, pośrodku klubowej górki stały kiedyś łódki. W ten sposób oszczędzaliśmy siły i czas pokonując ją tylko w połowie. Widoczny na fotografii też klasyczny stół żeglarza regatowego, czyli cerowany na tyłku dres przywieziony z Czechosłowacji, katana robocza i trampki PolSPORT (na fot - Paweł i odwrócony tyłem Roger)



Fot.7.
„Cięcie się na wodzie”, czyli chleb powszedni żeglarzy.
OKD 700 – Maciej
OKD 136 – Paweł



Fot.8.
Nie ma co ukrywać, że Cadet to bardzo niewygodna łódka. Szczególnie dla załoganta, który swój tyłek sadowi na wąskiej ławeczce. Najwygodniej było posiedzieć na burcie w pozycji jak na zdjęciu. (Ojej i Paweł – ok. 1987 r)



Fot. 9. Poranna toaleta Marasa. Żywy dowód, że można...

Z tematów górnołotnych i wzniosłych wróć na grunt bardziej przyziemny. Z higieną w naszym Klubie też było całkiem nieźle. Wychodek, gwarantujący nieustającą inhalację świeżym powietrzem i jeden kurek z zimną wodą, zwany pompą. Pewnie dlatego, że kiedyś z tego miejsca ciągnęło się wodę siłą mięśni rąk. Nie było zresztą większej potrzeby myć się za często skoro i tak co jakiś czas wpadało się do wody z pomostu. Ścisła czołówka lokowskich żeglarzy wyznawała zasadę praktyczności. Oznaczało to, że rzadko kiedy moczyli się w wodzie, jak mogłoby się wydawać normalnie, czyli w kąpielówkach. Najczęściej „piekli dwie pieczenie na jednym ruszcie”, bo przecież jak człowiek puszczał się do wody w ciuchach, to zaliczał zarazem kąpiel ciała jak i przepierkę ubrania. Jak rozpędzony z klubowej górką wpadał w czeluść jeziora rowerem, to i rower miał umyty. A więc braku higieny nie można było zarzucić kadrze żeglarzy LOK-u.



Fot. 10 i 11. Klubowa latryna i jej użytkownicy (ok. 1999 r)
A ci użytkownicy to: Roger (Redzi), Marcin (Setter), Maras i Paweł

Teraz kilka słów w kwestii tego co jest niezbędne do życia, czyli wody i pożywienia. Tu w wąskim gronie młodych lokowskich okejarzy królował minimalizm. Niezbędne minimum stanowił bidon z wodą zaczerpniętą ze wspomnianego kurka, czyli ogólnodostępnego wodopoju, kiełbasa, słoik dżemu i chleb. Wspomagali się jednocześnie jabłkami z okolicznych sadów oraz rosnącymi na dziko śliwkami, morelami i gruszkami. Oczywiście jako pomysłowi racjonalizatorzy i weseli eksperymentaliści próbowali też różnych innych sposobów zapełnienia żołądków. Najbardziej ekstremalnym pomysłem wydaje się być zakup całkiem sporych rozmiarów puszki mięsa dla psów i skonsumowanie jej odgrzanej nad ogniskiem. Była to duża porcja nieprzyprawionej wołowiny z chrząstkami za przystępną cenę. Jednak na jednym razie się skończyło.



Fot. 12. Konsumpcja zawsze była czynnością drugorzędną, ale bywało że jadło się z misek. Uwieznione na zdjęciach głodomory to: Przemas i Roger – Zalew Szczeciński – 1997 r



Fot. 13. Coś na ciepło, czyli smażenie kiełbas nad ognikiem było i jest popularnym sposobem na zapełnienie brzuchów. Z kijami siedzą: Przemas, Roger i Paweł – Mazury 2003 r

A jak przedstawia się wizerunek dzisiejszych żeglarzy w porównaniu z tymi sprzed ćwierćwiecza? Tu widać różnicę. Dzisiaj na żeglarzach pięknie prezentują się przeróżne, kolorowe sztormiaki: suche, mokre, półmokre a może nawet i półsuche. Ręce opatrzone są w mięciutkie rękawiczki Henri Lloyd, nogi zabezpieczone w piankowe buty, a oczy zakryte modnym okularem sportowym. W czasach świetności klubowej latryny, taki strój mógł być wytknięty palcem. Delikwent ubrany w ten sposób mógł stać się odmieńcem w regatowym stadzie. Wtopienie się w tłum żeglarskiej ferajny gwarantował pocerowany na tyłku dres przywieziony z Czechosłowacji, naciągnięte na niego sportowe gatki i wysłużone już w boju trampki Polsport. Na sztormy dla klubowej kadry były przeznaczone pomarańczowe, gumowe Lindy, które dawały ochronę przed pierwszymi uderzeniami fal oraz psychiczne wsparcie, że coś tam ma się na sobie po czym woda spływa zarówno od zewnątrz jak i od wewnątrz. I nie ma co ukrywać, że były to wtedy z najwyższej półki wśród dostępnych na polskim rynku sztormiaków. Mniej zasłużeni żeglarze zakładali na karki katany rybackie, a dla początkujących były ich własne bawełniane dresy. Te same dresy, które zakładali na flautę. Nie musieli przynajmniej kalkulować i kombinować w co się ubrać. I też dawali radę. Jeśli chodzi o socjal na wodzie, to każdy szanujący się dzisiaj żeglarz, powinien mieć pod ręką butelkę z wodą lub jakiś izotonik dodający tak zwanego poweru. Pewnie lepsze to niż zaczerpnięta dłonią woda z jeziora, jednak nie było co narzekać. Ta z jeziora też smakowała wybornie.



Fot.14. Żeglarze w pełnej gali - Olej, Pleban i Paweł na obozie żeglarskim w Kiekrzu 1985 r



Fot.15. Namioty obozu żeglarskiego na przystani PKM LOK w Kiekrzu 1985 r (na ławce siedzi Marcin Pitula)

Ale nie tylko kierską wodę przyszło popijać lokowskim zuchom. Przynajmniej raz w roku spora ich grupa jechała bić się na wodzie o Mistrzostwo Polski LOK. Boszkowo, Sława, Zegrze, Tresna i inne akweny żeglarskie były arenami ich zmagañ. Transport łódek, ich sterników i załogantów odbywał się po żołniersku. W końcu Liga Obrony Kraju! Polski samochód ciężarowy marki Star z przyczepą i tabliczką nauki jazdy „L”. Młody żołnierz w mundurze za sterem maszyny. Na pace łódki powiązane linami, które po rozpakowaniu samochodu służyły za cumy, szoty i fały. Z dbałości o sprzęt pomiędzy burty naczepy a regatowe maszyny poupychane były stare materace wypełnione sianem. Niezły był dym z tych materacy jak się je fajczyło, ale to jest osobny rozdział historii z kategorii tych nie dla wszystkich. Na tych łódkach, pomiędzy nimi, pod nimi i w nich jechali młodzi żeglarze. Tak wyglądał między innymi ich wyjazd i powrót z Mistrzostw Polski LOK na Zegrzu, skąd jak dotarli z powrotem do rodzinnego klubu, załapali się jeszcze na wesele Wuja Lonia w świetlicy klubowej.



Rys. Wyjazd młodych żeglarzy LOK na regaty.

Zimowe wyjazdy też miały swój urok. Wtedy najczęściej środkiem transportu był samochód osobowy z przyczepą naszpikowaną bojerami. Ale i bywały eskapady baną, czyli parowozem, który wtedy wcale nie był czymś nadzwyczajnym. Młodzi bojerowcy porzucani po korytarzu, bo w przedziałach nie było miejsca tłukli się w kierunku zaspanych śniegiem Mazur. Piecze nad młokosami sprawowali najstarsi wtedy w drużynie, Romciu i Kusy, którzy mieli po dwadzieścia kilka lat i wydawali się starzy jak węgiel drzewny. Jeśli chodzi o politykę sprzętową to trzeba przyznać, że była racjonalna, bo na jednym ślizgu jeździł junior i młodzik. Płozy paliły się od jazdy i drewniane usztywniacze łamały od wiatru. Szczęście w nieszczęściu aluminiowe kołki nie trzaskały tak jak dzisiaj epoksydy, ale za to gwarantowały kaskaderskie warunki jazdy w silnym wietrze, archaiczne wychodzenie z kokpitu na płozownicę na balast oraz pracę szotami – wybierz, luzuj, wybierz, luzuj i tak w kółko. Jeżdżenie we dwóch na jednym bojerze to jednak dowód na popularność i zainteresowanie lataniem bojerami ćwierć wieku temu wśród młodzieży. Gorzej, gdy bojerzy wysychają na klubowych koziołkach nie mogąc doczekać się chętnego sternika. I słaba zima nie powinna być tu żadnym wytłumaczeniem, bo gdzie jesienią są młode ręce szlifujące burty bojera? ...Klikają w klawiaturę komputera tracąc trzecie życie.



Fot.17. Roger, Tomek (Kaszaj) i Paweł w oknie klubowego hangaru – data trudna do oszacowania (ok 1987 r)



Fot.18. Maras, Roger i Paweł na tle tego samego hangaru po jego przebudowie (ok 2000 r)

Powrót z zasypanych śniegiem Mazur wcale nie był prostszy niż dotarcie do nich. Po regatach mogło się na przykład okazać, że dworzec w Mikołajkach jest zamknięty, a pociąg odjedzie, ale... jutro. I fajnie. Kolejna noc, w całe szczęście niezamkniętej jakiejś noclegowni i do szkoły nie trzeba było pójść. Same plusy. Które miejsce wtedy zajęliśmy? Pustka w głowie. Wygrać nie wygramy. Ale przeprawę w dwójkę z Kusym przez Śniardwy na miejsce startów w śniegu sięgającym płozownicy pamiętam.

Tak samo jak w kącie zapomnienia legło miejsca zajęte na Spartakiadzie Młodzieży rozegranej w trakcie ogólnopolskiego obozu bojerowego w Krynicy Morskiej w 1986 roku. Ale grę w ping-ponga na stoliku kawiarnianym kryształowymi popielniczkami do gaszenia petów, rozkręcanie radia Luksemburg na cały hotelowy korytarz, latanie bojerami jak nienormalni we mgle, w warunkach w których nikt nie opuszczał portu i stawanie kaskiem na lodzie nogami w górę zapomnieć się nie da.

W trochę późniejszych czasach, bo w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych nastąpił kryzys demograficzny czynnych bojerowców poznańskiego LOK-u. Doszło do tego, że drużynę wyjazdową w pewnym okresie tworzyli zaledwie Roger i autor wspominek. Volkswagen golf dwójka z bagażnikiem dachowym, dwa bojery, maszty i płozownice powiązane na dachu, skrzynki z płozami w bagażniku i żagle pomiędzy nimi. Pod Olsztynem kierujący wozem Redzi w pewnym momencie zniemacka rzucił pytanie w przestrzeń szoferki:

- Tej a gdzie w ogóle są te regaty?

- A żebym to ja wiedział? Gdzieś na Mazurach... – Usłyszał od towarzysza eskapady.

Dobrze, że były budki telefoniczne na trasie i zaufani informatorzy, bo inaczej wyjazd spaliliby na panewce.



Fot.19. Po szczęśliwym dotarciu na miejsce startów – Roger i Paweł (1997 r)

Głównym kryterium wyboru miejsca do kumania na regatach była niska cena, dlatego dużym zainteresowaniem cieszyły się świetlice klubowe z łózkami turystycznymi. W Charzykowie, bodajże na gościnnej przystani LOK-u, łóżka te nie miały materacy tylko sprężyny, ale nie było to powodem zmartwień chłopców. Bywały też noclegi naprawdę luksusowe. Na przykład w trakcie Mistrzostw Polski w Giżycku. W nieogrzewanym pokoiku jakiegoś letniskowego domku, można było odpalić sobie telewizor, w którym na jednym z kanałów wyświetlony był ogień z paleniska kominka. Od razu zrobiło się ciepłej. I tu pamięć już nie zawodzi. Wiało silnie. Po gładkim, jak „szklanka” lodzie, do miejsca startów można było zjechać baksztajem na samych masztach. Bez żagli. Jeden gieroj, który za wcześniej

wciągnął żagiel na maszt, zanim zdążył go wybrać złamał kołek. Gdy siła wiatru umożliwiła postawienie żagli, regaty rozegrano. Miejsca w trzeciej dziesiątce i powyginane sektory, taki był wtedy wynik sportowy. Może jakby sprzęt wytrzymał do końca startów byłoby lepiej. Ale nie był to wyjazd bezowocny. Po tych Mistrzostwach Roger zmienił system amortyzacji sterówki na sprężynę, a Paweł wkleił nową rurkę pod sektor i zmienił gumę odpowiadającą za tłumienie drgań. Na pamiątkowym z tych Mistrzostw Polski kuflu do piwa widnieje lekko zatarta już data 1997. Jakby nie liczyć osiemnaście lat temu. Szmat czasu. Może pora wrócić na krajową scenę regatową, chociażby w roli „bezcennej otoczki mistrzów?” Kto wie...



Paweł
OPP 1118/1122
Cadet 888/683
OKD 136
DN 62

Fot. 20 Pamiątkowy emblemat z MP 1997 na kuflu do piwa.



Fot. 21 - OPP 1122 (1984 r)



Fot. 22 - Cadet 683 (1987 r)



Fot. 23 - OKD 136 (ok. 1990 r)



Fot. 24 - DN 62 (2009 r)